

KULTURAŁKI



Wacław Krupiński

Pustka jest wszak bezszelestna

Zna Józef Opalski to zdanie Becketta? Nie wiem. Na pewno zna świetnie jego dzieło, zresztą nawet z Broniem Majem zagrał w jednoaktówkach Becketta, gdy obsadził ich sam Antoni Libera. Po co mu więc znajomość tego zdania, gdy zgłębił wszystkie inne zdania Irlandczyka, wpisane w kolejne akty jego teatru absurdu. Absurdu życia. Ale czy znał to zdanie, zanim przystąpił do realizacji „Nie całkiem wesołej historii”, spektaklu według Antoniego Czechowa, a ściślej jego opowiadania „Nieciekawa historia”? Opowiadania, które autorowi owego zdania spośród tekstów Czechowa było najbliższe.

Niech więc padnie to zdanie: „Każde słowo jest jak niepotrzebna plama na ciszy i nicości”. Niech wybrzmi w kontekście tego spektaklu, w którym postaci z „Nieciekawej historii” autorka adaptacji scenicznej Anna Burzyńska połączyła z wyimkami z teatralnych sztuk Czechowa. Nie wiem (znów nie wiem), ile napisała Burzyńska. Ale pewnie Opalski i tak wiele usunął, bo on tę „Nie całkiem wesołą historię” postanowił opowiedzieć garstką słów. Ileż sekund w absolutnej ciszy siedzi na skraju łóżka bohater, zanim z wolna wypowie pierwsze słowa: „Nazywam się Nikołaj Stiepanycz...”. A potem równie wolno i beznamietnie będzie snuł opowieść o swej samotności w życiu, które oto dobiega kresu. Ale to nie kres mu doskwiera, a poczucie nicości, sumy niespełnień, nieziszczalności. Obojętnie, które ze wspomnień przywoła, w każdym podobna pustka, niemożność porozumienia, jakiś cień. A powracają te wspomnienia nachalnie, sen oddalając, bo i jak spać, gdy demony przeszłości wdzierają się zuchwale, ukazując kolejne porażki. I nijak wyrwać się z tego świata w rozsypce. Nijak uciec od strzępów obrazów, w których pojawiają się najbliżsi. Też zresztą ludzkie strzępy. Świat Nikołaja Stiepanyca jest bowiem światem nieszczęśliwców. Lgnących do siebie, a zarazem każdy to pojedynca samotność. Samotna pojedynczość. Rutynowe rozmowy z żoną (Ewa Worytkiewicz), rytualna troska o dorosłą córkę (Paulina

Kondrak), jakieś nawroty z jej dzieciństwa, a tak naprawdę pustka, pustka – jak ujmie to Katia (Joanna Mastalerz), ukochana wychowawca, córka przyjaciela, której marzyła się scena. Córce Lizie marzy się z kolei wyrwanie z tego domu, wypełnionego drętwością rozmów codziennych. Nic to, że absztyfikant (Sławomir Rokita) pokraczny i tandetny. W tym świecie nikt z nikim nie zbliży się naprawdę; Michaił (Tadeusz Zięba) też sam zostanie ze swą miłością do Katii.

A może tak to tylko zapamiętał Nikołaj Stiepanycz? Wszak to jego seans wspomnień, jego porachunki z własnym życiem, jego obrazy... Nie ważne, czy realne. On tak i tylko tyle zapamiętał. Tyle mu zostało z życia. Bezradny jest zatem wobec prośby zagubionej Kati: „Przecież pan jest moim przyjacielem... Kochany! Pan jest mądry, wykształcony! Proszę mi poradzić, co mam

**Wystawiając
„Nie całkiem wesołą
historię”
miał Józef Opalski
Grzegorza
Mielczarka.
Mógł sobie na to
pozwolić**

zrobić?”. – „Mówię szczerze, Katiu: nie wiem”.

Opalski już wcześniej podarował nam taki seans obrazów z pamięci – i też w roli głównej obsadził Grzegorza Mielczarka, tyle że szaleńczego, rozedrganego. Był wszak wielkim Niżyńskim, tancerzem unoszącym się nad ziemią. Nie to co Nikołaj Stiepanycz, wbity w ciężkie łóżko. On nie musi się nigdzie śpieszyć, stąd w grze Grzegorza Mielczarka tyle pauz, zwolnień, niespiesznych gestów. Ostatnia stacja – rezygnacja.

W całym tym niedługim, na scenie Miniatury wystawionym seansie, dominuje spokój. Pustka jest wszak bezszelestna; nawet scena szaleństwa Lizy rozgrywa się w ciszy spowijającej zwinięte na stole w kłębek ciało dziewczyny.

Nigdy wcześniej Józef Opalski nie był jako reżyser tak powściągliwy, nigdy tak poetycko nie kondensował kadrów, nigdy nie opowiedział historii tak bezlitośnie. Nigdy tak lodowato nie przyłożył lustra przed twarze nasze. Zrobił spektakl precyzyjnie okrutny i okrutnie precyzyjny. Fakt, miał Grzegorza Mielczarka. Mógł sobie na to pozwolić.

©P